

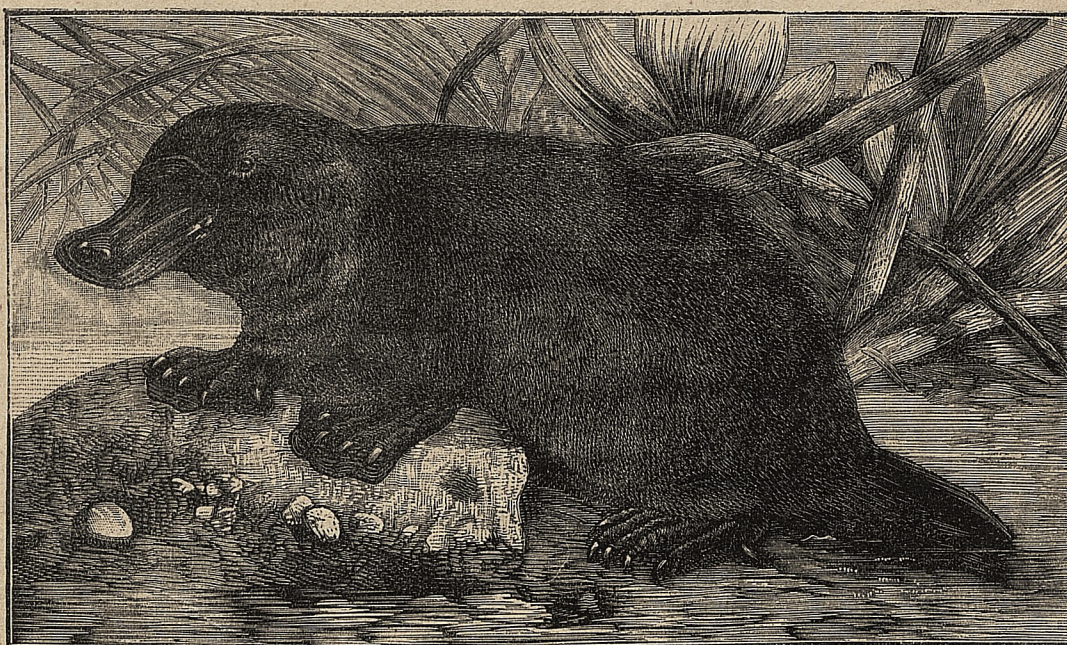


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DZIOBAK AUSTRALSKI

opisany w N-rze 31 na str. 246 gdzie natomiast przez omyłkę drukarską umieszczono wydrę morską sybirską.

PORANEK LETNI.

Już z kwiateczków ginie rosa,
Wschodzi słońko na niebiosą,
A zbudzone blaskiem ziółka,
Wita motyl, wita pszczołka.

W gniazdku krząta się gromadka,
Za żywnością leci matka;
A słowiczek jak najwcześniej
Swe uroczę śpiewa pieśń.
O czém śpiewa lubie ptaszę?
Czy wychwala gaje nasze,

Czy opiewa swe podróże,
Czy modlitwę śle ku górze?...
Tam za wzgórkami, na dolinie.
Jakby wstęgą rzeczka płynie,
A na polu kwitnie zboże,
Krówki chodzą po ugorze.
Jakto miło, kiedy w lecie
Wszystko krząta się na świecie,
Jak nie odżyć choć na chwilę,
Kiedy wszędzie życia tyle!...

Helena Bojarska.

POGADANKA OGRODNICZA.

Przez *Zofię Grabkowską.*

— Cioteczko droga, kochana! patrz, co ci przyniosłem; taki śliczny, ogromny bukiet, że ledwo unieść w obu rękach mogę i to z samych białych kwiateczków, takich właśnie, jakie najwięcej lubisz — wołał Witoldek, wbiegając pędem z ogrodu do pokoju.

Na te słowa ciocia, siedząca z robótką przy oknie spojrziała z przerażeniem prawie na dar jej ofiarowany.

— Coś ty zrobił, chłopcze drogi! — zawołała trochę gniewnie na niego — pewnie wszystkie rozkwitłe truskawki padły ofiarą, twoich dla mnie dobrych chęci. Naturalnie moge i to z samych białych kwiateczków, takich właśnie, jakie najwięcej lubisz — wołał Witoldek, wbiegając pędem z ogrodu do pokoju.

— Wiele to są kwiaty truskawek? Mój Boże! Co to stary Jan na to powie? — mówił ze łzami w oczach chłopczyna — nie dawniej jeszcze jak wczoraj obiecywał, że nie długo mnie niemi uraczy; a ja, chcąc cioteczkę ucieszyć, zerwałem wszystkie co do jednej kwitnące gałązki. Doprawdy! nie śmiem mu się teraz na oczy pokazać.

— No, no, jakoś to się da załagodzić, już w tym moja głowa — pocieszała ciocia. — Staruszek rzeczywiście jest bardzo przywiązany do każdego drzewka, kwiatka i roślinki; ale nie w tym dziwnego, bo wszystko, co tu dokoła widzisz, jego i moją jest zasługą, pracą naszych tylko rąk. Będzie mu z początku trochę markotno, głównie dla tego, że cię później truskawkami nie poczęstuje; ale się w końcu udobrucha przez wzgląd, że to wakacje i mój drogi Tolunio poraz pierwszy zaszczycił nas swoimi odwiedzinami.

Ale chłopczyna był niepokieszony. Dobre jego serce wyrzucało mu gorzko mimowolną przykrość, wyrządzoną staremu przyjacielowi, to też w niebieskich oczkach drżały ciągle srebrne łezki i długo, długo ciocia pieściła jasną główkę, nim zdołała go uspokoić.

— Cioteczko! — rzekł w końcu, podnosząc ją i patrząc z miłością w twarz staręj, dobrej swęj znajomej od pierwszych chwil życia — mówiłaś dopiero co, że taki mieszczuch, jak ja, nie pomyśli nawet nad tym, jak wyglądają drzewa i krzewy, z których owoce mu smakują i miałaś zupełną słuszość. Wstydzę się tego doprawdy, ale ty wiesz, że nie moja w tym wina, bo w mieście, nie miałem nigdy sposobności się z tym zapoznać. Kto wie, gdyby nie ta uparta febra i rozkaz lekarzy, bym wyjechał na świeże powietrze, możeby jeszcze nie przedko do tego przyszło. Ale teraz, wszak mi nietylko pokażesz, lecz i zapoznasz ze wszystkimi cudami swojego ogródka, wszak mnie nauczysz tego zajęcia, które oboje ze starym Janem tak lubicie? Nieprawdaż, ciociu Zosiu, że to zrobisz, o co cię proszę — mówił, przytulając się do niej pieszczotliwie, Witoldek.

— Najchętniej, moje dziecko, uczynię zadość twojej

prośbie — odpowiedziała ta ostatnia. — Zabiorę z sobą robotę i pójdziemy pod lipę na ławeczkę. Znajdziemy tam dobre siedzenie, cień, z tego też miejsca najlepiej się mój ogródek przedstawia, poznasz więc dopiero, jaki skarb w nim posiadamy.

— Ja ci wierzę, cioteczko — mówił chłopiec, gdy się znaleźli u stóp wiekowego drzewa — że taki ogródek, jak twój, to skarb prawdziwy. Masz takie śliczne kwiaty, drzewa i wyborne z nich owoce; pamiętam, jak mi smakowały, kiedyś je nam do Warszawy przysłała. Ale co też pracy cię one kosztują! cały dzień z Janem chodzicie koło nich, podlewanie, sadzicie, siejecie, piecie, obcinacie suche gałęzie. To nieustanne okolo nich zajęcie musiało cię nieraz okropnie znudzić i zmęczyć.

— Przypatrz nam się dobrze, Tolusiu — odrzekła zapytana — gdy jesteśmy przy naszym zajęciu, a wtedy zobaczysz, czy wyglądamy na znudzonych i zmęczonych. Gdybyś wiedział, czem w mojem i Jana życiu jest ten ogródek, tobyś nigdy nie powiedział tego i nie ubolewał nad nami.

Dziecko podniosło właśnie oczy na mówiącą i ujrzało blask szczęścia, który się odbił na jej twarzy; jakby dla potwierdzenia jej słów, zobaczył z dala starego ogrodnika, pochylonego nad kwiatem pierwszej róży i mówiącego coś do niej z miłością, a wyraz twarzy ich obojga powiedział mu lepiej niż słowa, co to za skarb mieli w swym ogródku. Milcząc więc już tylko osunął się na zieloną murawę i oparł główkę o kolana swęj opiekunki.

— Opowiadaj, cioteczko, o cudach twego ogródka — wyrzekł prosząco i pieszczotliwie zarazem.

— A jeżeli się znudzisz przy tej pogawędce, to co będzie wtedy? Z kolei ja znowu będę cię musiała żałować.

— Nie, nie, stanowczo nie znudzę się, opowiadaj tylko.

— Ale od czego zaczniemy? może od truskawek, ponieważ one obudziły w tobie tę chęć i ciekawość?

— Zgoda! zaczniemy od truskawek.

— Jak będziesz starszy — mówiła ciocia, biorąc jedną kwitnącą gałązkę w rękę — powiedzą ci przy nauce botaniki, że wszystkie rośliny i drzewa podzielone są na rodziny, stosownie do podobieństwa, jakie zachodzi między niemi. Budowa ziarna, sposób umieszczenia zawiązków w kwiecie, postać słupków i pręcików, główne tu mają znaczenie. Dowiesz się wtedy także, że wszystkie owoce dzielą się na suche i mięsiste; ostatnie ogrodnicy nazywają znów różnie, pestkowymi, ziarnkowymi i jagodami. Wydanie owocu jest ostatecznym celem każdej rośliny, bez niego bowiem nowe rośliny powstać by nie mogły. To, co w potocznej mowie nazywamy owocem truskawki i poziomki, jest właściwie tylko osadnikiem kwiatowym, bardzo mięsistym i soczystym, na którym liczne zawiązki są skupione; owoce właściwe, to te ziarneczka, których ilość znaczna znajduje się w każdej truskawce i które przy jedzeniu w zębach trzeszczą.

Truskawka (*Fragaria elatior*) jest owocem jagodowym, należy do rodziny różowatych, (*Rosaceae*) téj samęj, co i róże, które nadały nazwę całej rodzinie. Cechą jej wspólną są pręciki liczne, prawie zawsze w liczbie 20-stu i wraz z płatkami korony umieszczone koło zawiązka, na kielichu. Między różą centofolią, lub temi pięknymi odmianami, które zakwitną niedługo w moim ogródku a kwiatem truskawki, niema na pozór żadnego podobieństwa, ale znajdziesz je prawie wyraźnie, gdy kwiat ten porównasz z dziką różą (*rosa canina*) mimo różnicy koloru i wielkości; w różach ogrodowych bowiem sztuka ogrodnicza, zmieniła całkiem pierwotne kształty.

Jak widzisz, kwiat truskawki jest biały, o pięciu płatkach w koronie, licznych żółtych pręcikach i kielichu kwiatowym z dziesięciu rozłożystych działek złożonym. Liście ma trójdzielne, błyszczące, omszone, z kątów ich wychodzą kwiaty i wąsy; z których je rozmnażamy. Kodyga krótka złożona jest z rozgałęzień, bezpośrednio nad sobą ułożonych. Kwitnie w Maju, a doskonałe jej owoce są dojrzłe czasami już w tym samym miesiącu, najczęściej jednak dopiero w Czerwcu i Lipcu.

— Masz słuszość ciotusiu, mówiąc, że są doskonałe, ni

wiem doprawdy, kiedy lepsze, czy świeże, czy jako konfitura, czy też w kremie z kwaśnej śmietany.

— Nie zapomnę o tym kremie przez czas bytności twojej u mnie, bo jakoś na wspomnienie jego najwięcej się memu chłopcu oczki świeciły — śmiejąc się mówiła ciocia — ale ponieważ nie możemy się nim teraz zająć, wróćmy lepiej do naszych truskawek.

— I do tych ich wąsów, których jestem bardzo ciekawy.

— Zaręczam cię, że nie mają one nic wspólnego z wąsami króla Sobieskiego, a choćby naszego pocziwego Jana. Są to poprostu liczne rozłogi, opatrzone rozetkami z liści, wychodzące ciągle z krzaków, które bardzo łatwo się rozgałęziają. Korzystają też z tej ich własności i przypinając je do ziemi, szpadlem spulchnioną trochę w tym miejscu, tak zwaną kulka, czyli kawałkiem witki złożonej we dwoje w kształcie szpilki do włosów.

— A tych ziarneczek, trzeszczących w zębach, czy nie możnaby zasiać?

— I owszem, chciałam właśnie o tym mówić. Najsilniejsze i najlepiej kwitnące truskawki otrzymujemy z siewu. Jest to nawet jedyny sposób rozmnażania poziomek i truskawek bez wąsów. Na siew zbiera się owoce już bardzo dojrzałe i przez przepłukiwanie kilkakrotne w wodzie lub przetarcie przez sito oddziela się od nich ziarneczka, które przesypane wilgotnym piaskiem, umieszczone w skorupce i przykryte szkłem, poddaje się tym sposobem *stratyfikacji* czyli *zasypaniu*. Kiedy wszędzie roślinki, można je przepikować to jest przesadzić do skrzynki inspektowej, lub wprost na zagonki, a jak będą większe i silniejsze, przenieść wraz z bryłą na przygotowany grunt. Wszystkie truskawki wielkoowocowe rozmnażamy z wąsów, które w wielkiej ilości ciągle z krzaków wychodzą. Krzaki przeznaczone na owocowanie najlepiej ciągle i bezustannie z nich czyścić, a na rozmnażanie założyć szkółkę.

Na szkółkę trzeba przygotować zagony na półtora łokcia szerokie i skopać je pagórkowato, a na nich po jednym rzędzie posadzić krzaki tak zwane mateczne, w odstępach łokciowych od siebie; wtedy wąsy, korzystając z pagórkowatej postaci zagona, będą przy rozetkach puszczać korzenie, tworzące nowe krzaczki. Zachowanie jednak wszystkich koronek osłabiłoby krzaczki główne i wydało słabe nowe rośliny, dość jest w tym celu zatrzymać z sześciu wąsów po jednej koronce, lub z trzech po dwie i poprzipinać je do ziemi kulkami. Naturalnie takim krzakom, przeznaczonym do rozmnażania, nie pozwalamy już kwitnąć zupełnie.

— A czy nie lepiejby to było, cioteczko, kupić już gotowe krzaczki u jakiego ogrodnika, niż samemu rozmnażać; zawsze to daleko mniej roboty?

— Zapewne, że można. Ale ja wolę sama rozmnażać, więcej mi to robi przyjemności swoją, niż czyjaś praca się cieszyć. Przytém sprowadzone krzaki dostają nam się najczęściej zwiędłe i dużo nieraz jest kłopotu, nim się je przyprowadzą do dawniejszego stanu. Trzeba im naprzód zwilżyć korzenie papką (z gliny, wody i krowieńca), posadzić je do inspektów, przykryć i cieniować gnojem, żeby nie parowały i nie traciły wilgoci, której i tak jako zwiędłe mają mało. Okien inspektowych z początku wcale nie podnosić i dopiero gdy listki zaczynają się prostować, uchyla się je powoli, naprzód na cal, później stopniowo na więcej. Najlepiej to czynić z wieczora, żeby roślinki, odwykłe w ciemności od promieni słonecznych, nie ucierpiały. Gdy już zupełnie odżyją, przenosi się je na przygotowany grunt.

O rozrywaniu krzaków, jako o rozmnażaniu nie mającém racji bytu z powodu osłabienia głównych krzewów, nie wspomnę nawet, lepiej odrazu przejdziemy do sadzenia truskawek.

Najlepszy grunt pod nie jest piaszczysto-gliniasty (dwie części piasku a jedna część gliny), lub gliniasto-piaszczysty, później czarnoziem i gruntu wilgotne. Hodowane na dwóch pierwszych, są drobniejsze ale słodsze i aromatyczniejsze, na trzecim i czwartym większe lecz wodniste. Ziemię pod sadzenie truskawek przygotowujemy w następujący sposób:

Kwaterę, to jest kawał gruntu przeznaczony na ten użytek dzieli się na pasy, niemniej jak prętowej szerokości i w liczbie przystępnej koniecznie, zostawiając między zagonami odstęp najmniej jednostopowy. Grunt musimy nałożyć gnojem, a potem zrobić regulówkę*), uważając by kompost luk mierzwa zagłębiły się nie więcej jak na 10 do 12 cali w ziemię.

Kiedy na całej przestrzeni robota ta będzie skończona, rozciągamy sznur i dzielimy zagon na trzy linie równoległe (licząc kilka cali odstepu od brzegu zagonu) i na liniach tych sadzimy truskawki w szachownicę, w odstepie jednolokciowym jedna od drugiej. Najlepiej sadzić w Sierpniu i Wrześniu.

Przed posadzeniem dobrze jest umaczać korzenie roślinek w papce z gliny, wody i krowienia, lekko przyciąć końce, zrobić ręką dołek nie bardzo głęboki, żeby wilgoć i powietrze, łatwo dochodziły i rozłożywszy korzenie, żeby nie były skłupione, nakryć ziemią, obcisnąć rękami i zrobić koło krzak miseczkę, ażeby wygodniej było je podlewać. Potem naokoło dość szczelnie i grubo przykrywamy gnojem, zostawiając na wierzchu wszystkie liście. Takie przykrycie słomą lub gnojem trzeba powtórzyć po okwitnieniu; owoc, padając na słomę, nie tak się niszczy i gnije.

Szkółka może trwać trzy lata, truskawki przeznaczone na owoc, mogą przetrwać w jednym miejscu pięć lat, potem trzeba je albo zastąpić innemi, albo przenieść na nową kwaterę lub na tej samej ponowić regulówkę. Pługiem Sack'a można zastąpić regulówkę.

— A w jaki sposób ty pakujesz, cioteczko, truskawki, żeby doszły świeże i nie pogniecione do Warszawy?

— I na to mam sposób, Umyślnie do tego przygotowane małe sitka ustawiam jedno nad drugim między trzy lub cztery kijki, a truskawki przełożone liśćmi, przyjdą na miejsce takie, że z pewnością miejskim moim przyjaciółom smakować będą **).

— Cioteczko, z twego ogródka jadałem mniejsze i większe truskawki, czy więc wielkość ich zależy od uprawy i gruntu, czy też są między nimi znaczne różnice? — pytał zaciekały Witoldek.

— O! tak, mój drogi, są między nimi znaczne nawet różnice pod względem kształtu, bo smakiem są wszystkie mnie więcej do siebie podobne; wszystkie jednak przechodzą z połączenia różnych odmian i gatunków dzikich poziomek (Fragaria resea) tak pospolitej po gajach i lasach ***). Owe truskawki zwane np. ananasowemi, powstały z poziomek chilijskich i wirginijskich, inne znów dały początek tej wielkiej ilości odmian, które dziś znamy. Dzielią się wszystkie na *wczesne*, *średnie* i *późne*.

Truskawki nie każą na siebie długo czekać i dlatego należą do najwładźniejszych owoców, obcinanie ciągle wąsów jest jedyną żmudną tu robotą. Poza tćm wymagają tylko czyszczenia zagonów z chwastów, a na wiosnę odcięcia zgniłych liści i przekopania truskawczarni za pomocą motyki. Ale za te małe trudy, jakże hojnie nas wynagradzają soczystemi, pachnącemi i ładnemi nawet dla oka owocami, których żałuję, że ci nie mogę teraz ofiarować — mówiła, kończąc swe opowiadanie ciocia i powstała z ławeczki, dążąc już ku domowi.

*) Próby hodowli truskawek po *amerykańsku* bez regulówki, tylko na ziemi umierzwionej i zoranej, wypadły w r. 1885 w ogrodzie Pomologicznym bardzo pomyślnie, jak o tćm dowodzi Ogródnik Polski. Największą taką hodowlę w Europie posiada p. Vinson w Swanley w południowej Anglii. Zajmuje tą plantacyą przeszło 300 morgów przestrzeni i wydaje około dwóch milionów ff. zbioru, zatrudniając przytćm 1000 robotników.

**) Najlepiej zbierać owoce w godzinach rannych, odcinając go lub urywając z szypułką.

***) Truskawki w stanie dzikim rosną u nas w Lubelskiem i Krakowskiem.

— Chciałbym mieć taki ogródek, jak ty, cioteczko — mówił Witolek, patrząc z przyjemnością na kwitnące grządki, które mijali powoli.

— Wierzę ci zupełnie, mój drogi, żeby nie kochać kwiatów, trzeba w duszy nie mieć najmniejszego pojęcia o pięknie. Nie dziwi mnie też to zamilowanie u nikogo, raczej zdumiewa brak jego. Ale najczęściej lubimy je w słowach tylko, a najmniejszego trudu żalujemy dla nich poświęcić. Pod tym względem stoimy niżej od ptaka ogrodnika, o którym może słyszałeś.

Wstrząsasz przecząco głową, a więc na zakończenie naszej pogadanki opowiem ci o tym osobliwym ptaku, które mu nie wystarczają leśne kwiaty tak hojnie rozrzucone w koło niego. Zapragnął on mieć swój własny ogródek, który stroi w kwiaty, jagody, muszelki i różne barwne owady. Okaz takiego ptaka wielkości sroki o skromnym upierzeniu, wraz z jego jajkami został przywieziony z Australii przez pewnego podróżnika i naturalistę angielskiego. Widział on na własne oczy ten ogródek i powaga jego, daje nam rękojmią prawdy tego opowiadania.

— Jakie to śliczne i ciekawe! opowiedz mi co jeszcze takiego, cioteczko?

— Na wszystko jest czas właściwy, a przede wszystkim, jak teraz, na obiad. W wolnych chwilach chętnie ci wszystko opowiem i objaśnię, a dzielną pomocą w tym będzie mi twój kuzyn Gustaw, który obiecał spędzić z nami wakacje. Jeżeli w jego towarzystwie udzieli ci się choć część jego zapału, to wy kierujemy cię na dzielnego ogrodnika i botanika.

— O dobrze! dobrze! ciotusiu — zawołał Witolek, rzucając się na szyję swój przyjaciółki i serdeczny obustronny pocałunek zakończył pogadankę o truskawkach.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M...a

(Dalszy ciąg).

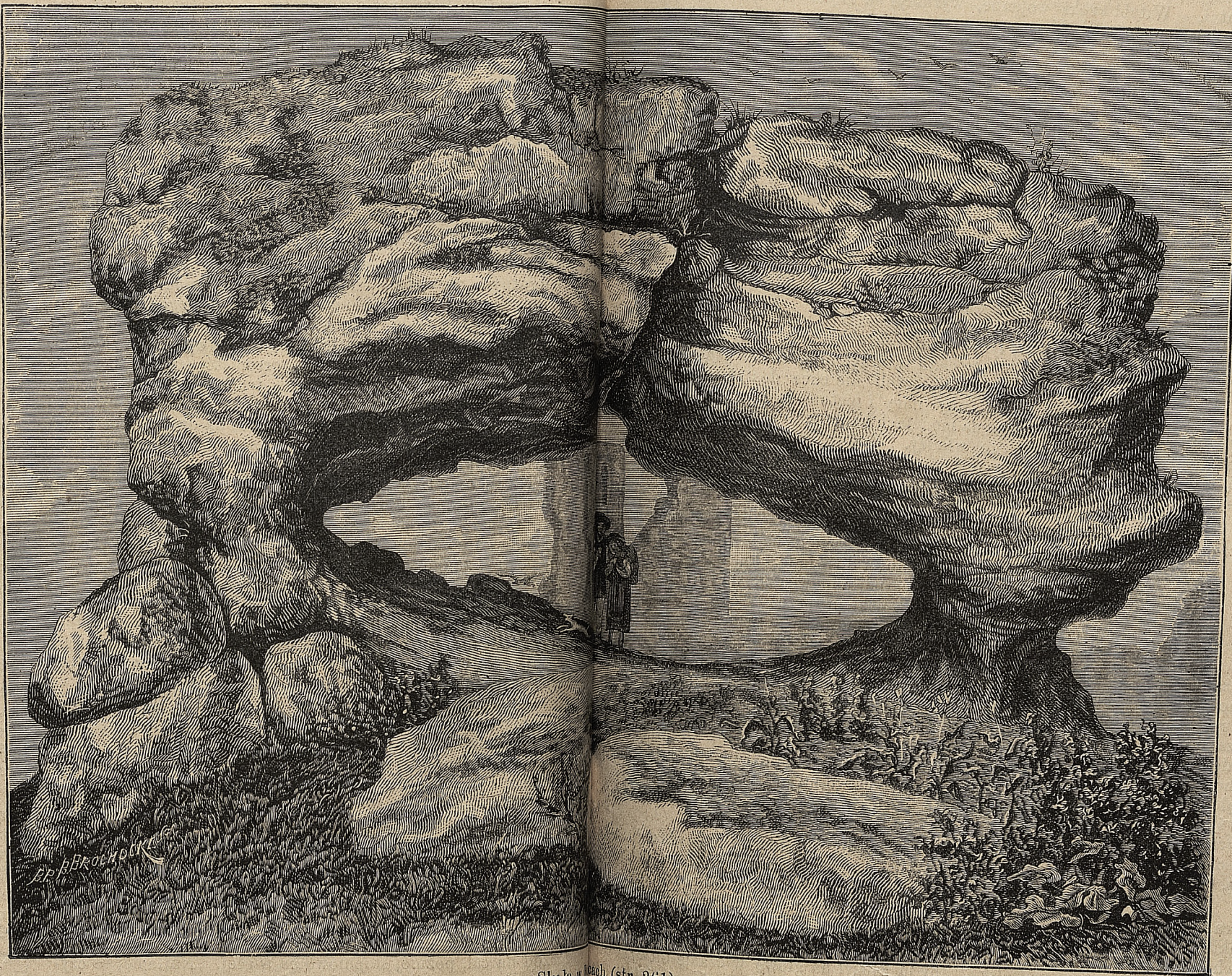
— Pachole złote moje, a gdzie ty? — dopiero głosik srebrzysty złądścił jakby z nieba do niej przyleciał:

— Tutaj, matusiu złota!

Ona spojrzała w górę i rozśmiała się. Trzeba albowiem wiedzieć, że dworek pana Jaśka z Dębinki stał istotnie pod konarami dębu, zwanego jakby na żart Dębinką, a był to dąb taki ogromny, jakie dziś rzadko i daleko już tylko na świecie bywają, ale w owe czasy nie brakło ich w Polsce; takie olbrzymy, jeżeli który znalazł się w odpowiedniej miejscowości, otaczano niekiedy ziemnym wałem jednym i drugim, i rowami, palisadą obronną, a w samej gęstwinie, u szczytu potężnego drzewa, urządzono strażnicę i w ten sposób z dębu stawał się niby zamek obronny rycerski, mający tę własność, że dawał się zbudować niezmiernie prędko w razie potrzeby, a nie wiele był słabszym od innych, które w owe czasy także jeszcze z drzewa budowane najczęściej, miały za główną obronę piersi swoich obrońców.

Takim to zamkiem napowietrznym była niegdyś i Dębinka pana Jaśka. Z czasem jednakże strażnicę zaniedbano, dworzec stanął u jej stóp, inne otaczały go, rozciągając się i rozsiadając szeroko polskim obyczajem, a stało się to dla tego, że pański duży dworzec, na wół już zameczek prawdziwy, stanął w Garbowie i wziął na siebie rycerski obowiązek

czuwania nad otaczającą go niższą i słabszą współbracią, wyręczając dawną strażnicę w Dębince. Stary Dąbek czyli Dębinka, jak go nazywano, stał przecież krzepko i zdrowo, tylko strażnicy na nim nie było, a w jej szczętkach, to jest w malutkiej niby chatce, ukryty na szczycie gęstwiny dębów, urządziło sobie mieszkanie Złote pachole i często tam przesiadywało.



Skala w Dębce (str. 261).

Siedziało właśnie i teraz na dębie, wygodnie się rozciągając, na podłodze starej ale mocnej jeszcze strażnicy, gdzie ojciec kazał parobkowi kiedyś siana wiązkę zanieść ku uciesze malca. Chłopaczek wychowany wśród starszych, z wyobraźnią pobudzoną ich opowieściami, miał podobno rozgorzałą i myślącą główkę i całymi godzinami mógł leżeć spokojnie na swoim wysokim zamku, z kądem i dworzec Garbowski i bardzo rozległa naokoło okolica widoczne były jak na dłoni, a przeto dostarczało malcowi pola do marzeń przeróżnych, których starsi nie podejrzывali wcale. Zdawało mu się więc, że tam a tam, gdzie z lasu wystrzela wieżyca, to

wał, iż bardzo często zdawało mu się, że sam walczy w ich szeregach, broniąc granic swojej Dębinki i swobody ojca, i matusi, babki i dziada, i Krakowa z jego kościołami przebież, boć Dębinka w krakowskiej jest ziemi, no i całej Małopolski, boć Kraków w Małopolsce siedzi. Tak walcząc, Złote pachole wyrastało częstokroć na potężnego rycerza, aż mu oczy z radości błyszczały, i teraz musiało być podobnie, bo na nowe pytanie matki:

— A ty czego tam siedzisz, kiedy goście są w domu? — odrzekł:

— Nie chcę takich gości, jak Jadwiś, ja sobie przystałem

na dworskie pachole do Garbowskięj pani, i podrosłem i przyjechał pan Zawisza Czarny i wziął mnie sobie, i jad teraz z panem Zawiszą w świat, na królewskie dwory, na rycerskie wojny, na pysznym rumaku, w ślicznej zbroi, nie tak jak Jadwiś, oklep na kulawej szkapie, i będę walczył z wielkimi rycerzami i będę tańczył z ślicznymi księżniczkami nie z takimi pannami w burzej sukmanie i w chodakach jak Jadwiś!

Matka się rozśmiała, znała poetyczne rojenia synka, gdyż je nieraz jej opowiadał, ale na ten raz rzekła:

— Dobrze to wszystko, pachole moje złote, a no wstrzymaj się jeszcze trochę z wyjazdem na królewskie dwory, a zejdziesz z Dębinki i pójdziesz do świetlicy, bo należy tobie gościnnym być dla twoich gości i tańczyć z dziećmi, jak ojciec gościnnym jest dla ich rodziców.

Pachole, karne choć pieszczone, zeszło natchnionych po gałęziach i drabince zawsze tam stojąc dla jego wygody, i poszło z matką do izby.

VIII.

Jak się matusia pomściła.

Właśnie ustały na chwilę płasy i niełeczne, lecz ochocze towarzystwo spoczywało, chłodząc się smakowitymi przysmakami i owocem przy drzwiach i okienku rozwartych szeroko, tak dla chłodu jak dla światła, gdy w ciszy tej chwilowej zadźwięczał srebrzysty umiejętną ze strun wydobyty ręką, potem drugi i trzeci, i głosik podobny do tonów arfy eolskiej przyłączył się do dźwięków poprzednich, tworząc tak cudną harmonię, że obecnie, zapomniawszy naraz o zmęczeniu, o tańcu i o przysmakach, zasluchani i zapatrzeni, osłupieli z podziwu: to maleńkie Złote pachole, strojne na ten raz w prawdziwe suknie dworskie, umiejętną ręką matki sporządzone, siedziało u stóp matki na małym stołku, makatą nakrytym, i patrząc w oczy matki, uśmiechnięty, z lutnią małą w rękach, grało i śpiewało, jakby w oczach mateczynych wyczytywało następującą piosenkę:

Kiedy Jadwiga, święta nasza pani,
Z nami pospół żyła na tym świecie,
Wszyscy ją sercem kochali poddani,
Tak jak matuchnę kocha wdzięczne dziocię,

Za co zaś panią tę ludzie kochali?
Słuchaj, słuchacz, wyśpiewam w tej chwili,
Za co kochali ją wielcy i mali,
I dzisiaj wielbią, i będą wielbili:

Patrzę ja w przeszłość, tam cudna królowa
Litwie pogańskiej niesie promień wiary;
Zbawienie Litwie i szata godowa,
Jadwidze rozkosz spełnionej ofiary!

Patrzę ja w przeszłość, tam wdzierca bezprawny
Już ruskie zamki zdradliwie pochwycę;
Jadwiga chwyta oręż Chrobrych sławny,
I lud zwycięstwem rozjaśnia wnet lica.

Patrzę ja w przeszłość, tam murarz przed laty
Z drabiny spada na plac brukowany,
Bieży Jadwiga, drze na siebie szaty,
By własną ręką owiązać mi rany.

Patrzę ja w przeszłość, tam gdy król surowy
Poddanych winy zbyt ostrą ukróci.

Jadwiga prosi go tkliwemi słowy:

— Nie karz, bo któż im lzy gorzkie powróci?...

Tak była matką ludowi królowa

W każdej potrzebie i o każdej chwili,

Za to się o nią wdzięczna pamięć chowa,

Ludzie ją wielbią i będą wielbili.

Małe pachole śpiewało pieśń tę bardzo uczenie, choć ojciec, jako sam dworak dawniejszy, zaledwo cokolwiek mógł mu objaśnić sztukę wydobywania tonów z dźwięcznej lutni, a matka śpiewu i piosnek uczyła, ale Złote pachole miało już wrodzone wielkie muzykalne zdolności i umiało więcej, niż go nauczano, śpiewając dziecinnym głosikiem bez najmniejszego fałszu, oddzielając strofy dźwięcznymi przygrywkami, akompaniując z lekka prześlicznie, i pięknymi przy końcu dźwiękami lutni końąc w słuchaczach żal za skończoną pieśnią.

(d. c. n.)

SKAŁA W BOBOLICACH.

W gubernii radomskiej, powiecie olkuskim, o półtora mili od miasta Lelowa leży wieś Bobolice. Stał tam niegdyś na wyniosłej skale zamek obronny, który król Ludwik węgierski nadał wraz z wielu innymi grodami na prawach lennych siostrzeńcowi swemu, księciu Opolskiemu. Ten jednak, naśladując niemieckich panów feudalnych, zaczął napadać i rabować, jak zbójca, kupców z towarami jadących. Ukarzał go za to Władysław Jagiełło i przemocą zamki poodbierał. Niedaleko od zwalisk zamku, które widać także na naszej rycinie, stoi skała osobliwszego kształtu, jakby brama olbrzymia.

KLĘSKA NAD WORSKŁĄ.

Było to przy końcu XIV wieku, potężny Tamerlan, władca Mongołów, opanowawszy rozległe krainy w Azji, zapuszczał dzikie swoje hordy i do Europy, nawet sułtanowi tureckiemu śmiało stawiał czoło. Jednemu z wodzów swoich, Tochtamyszowi, powierzył Tamerlan państwo Kapczaku na wybrzeżach Uralu, oddał pod jego rozkazy Złotą orzę i darzył go wielkiem zaufaniem. Lecz Tochtamysz nie chciał na tych łaskach poprzestać, uniósł się pychą, zapragnął wybić się z pod władzy Tamerlana i stać się niezależnym w swoim państwie. Nie powiódł mu się jednak ten zamiar, trzykrotnie zwyciężony, pobity na głowę, musiał uchodzić i schronił się pod opiekę księcia litewskiego Witolda z rodziną, skarbami i gromadką wiernych towarzyszy.

Już wówczas Jagiełło panował z Jadwigą w Krakowie, Witold był wielkorządcą Litwy. Książę ten wielkie miał zamysły, nęciła go sława wojenna, ambicya popychała do śmiałych przedsięwzięć; przyjął też chana tatarskiego łaskawie i pomoc nawet obiecał, spodziewał się bowiem, że Tochtamysz odwdzięczy mu się potem, gdy odzyska władzę w Kapczaku i dopomoże z kolei do wykonania rozległych planów i podniesienia potęgi Litwy. Królowa Jadwiga, ta dobra i rozumna pani, odradzała mu jednak tę wyprawę przeciw Tatarstwu, jakby duchem proroczym przepowiadała, że zamiast spodziewanych tryumfów i korzyści, spotkać go może straszna klęska. Nie usłuchał Witold i począł zbierać wojsko, gotując się do wyprawy. Król Jagiełło przysłał mu 400 kopij, stanęło też mnóstwo książąt litewskich i ruskich ze swojemi hufcami, Krzyżacy ofiarowali kilkuset zbrojnych, pod wodzą komtura z Regaty, gdyż jako rycerze chrześcijańscy, uważali za stosowne wziąć udział w wojnie z hordami pogańskimi. Nadciągnął Spytko z Melsztyna, wojewoda

krakowski, który obszerne włości dzierżył prawem lennem na Podolu, a za to obowiązał się bronić granic kraju od napadów tatarskiej dziczy. Dziwnie tylko wyglądały buńczuki Tochtamysza obok tych wszystkich hufców chrześcijańskich.

Tymczasem w Kapczaku nad Złotą orzę przewodził teraz stary emir tatarski Edyga. Był to człek mądry i doświadczony, nie chciał on tytułów, ani oznak władzy, obawiając się wzbudzić podejrzeń Tamerlana mianowany był chanem, ale w rzeczywistości sam rządził wszystkiem. Rozpoczął tedy Witold kroki wojenne, wyruszył w Lipcu r. 1399 z obozu swego pod Kijowem, puszczając się na południo-wschód. Wiódł z sobą książę litewski ciężkie armaty, które wówczas jeszcze nowością były, mnóstwo wozów ładownych i taborów z żywnością i prochem, pochód jego był bardzo powolny. Tymur-Kutluk, tytułarny chan Złotej ordy, stanął w pozycji obronnej na pograniczu swojego państwa, nad rzeką Worskłą.

Zaledwie Witold przebył mil kilkanaście, gdy zabiegł mu drogę posłaniec Tymur-Kutluka i w imieniu pana swego ofiarował zgodę, byle mu tylko wydał buntownika Tochtamysza. „Idę sam rozmówić się z Tymurem” odpowiedział dumnie Witold i posuwał się dalej, a w Sierpniu stanął w pobliżu wojsk nieprzyjacielskich. Nie było tam jeszcze Edygi, miał dopiero nadciągnąć z posiłkami, Tymur ułakł się potęgi Litwy, pragnął przedewszystkiem zyskać na czasie i prosił znowu o rozpoczęcie układów pokojowych. Spokorniał teraz bardzo, widząc wojsko chrześcijańskie w pobliżu, już nie podawał warunków, tylko pytał, czego od niego żądają. Witold odpowiedział na to, że chan tatarski musi zostać jego lennikiem i suły haracz opłacić, jeżeli nie chce dostać się w niewolę. Nadto żądał, aby imię i piętno księcia litewskiego było odtąd odbijane na monetach kapczackich, na znak uznania najwyższej jego władzy. Tymur wszystko obiecywał, prosił tylko o trzy dni do namysłu, a przez ten czas podejmował Witolda i rycerstwo jego w swoich bogatych namiotach.

Tryumf już zdawał się niezawodny, książę litewski ludził się najśmielszymi nadziejami, gdy wtém nadciągnął cichaczem stary Edyga, wódz dzielny i doświadczony. Po trzech dniach, nie otrzymując ostatecznej odpowiedzi, Witold chciał przeprowadzić się ze swoim wojskiem przez rzekę Worskłę i uderzyć na tatarstwo, gdy chan znowu go o rozmowę poprosił. Zgodził się na to książę, lecz jakież było zdziwienie jego, gdy przybywszy na miejsce schadzki, ujrzał tam, nie pokornego Tymura, lecz Edygę, o którego obecności nie wiedział. Zdziwił się więc jeszcze, gdy chytry Tymur w te słowa odezwał się do niego: „Chrobrzy kniaziu! Chan nasz mógł słusznie uznawać w tobie zwierzchnika i ojca, bo młodszy jest latami od ciebie; lecz za to odemnie ty jesteś młodszym, tobie więc przystoi posłuszeństwo mi przyrzec, być moim lennikiem i synem, daninę płacić i znamię moje wytłaczać na monecie litewskiej”.

Straszne to szyderstwo oburzyło Witolda do najwyższego stopnia, odstąpił natychmiast od układów i rwał się do walki, napróżno zapalczywość jego usiłował pohamować rozważny Spytka z Melsztyna i pośrednictwo swoje ofiarował. Edyga przyjął Spytka uprzejmie, lecz stawiał uciążliwe warunki; przy pożegnaniu ofiarował mu w upominku czapkę i dał przestrożę przyjacielską, aby ją włożył na głowę w czasie bitwy, a nie tknie go oręż tatarski. Spytka powrócił do swoich, lecz gdy raz jeszcze przekładał księciu i doradcom jego, aby się dobrze zastanowili, zanim rozpoczną walkę tak nierówną, wszyscy się oburzyli na niego, a Paweł Gryff Szczukowski odważył się tchórzem go nazwać. „Żal mi pięknej żony i wielkich bogactw” mówił pogardliwie. Spytka z Melsztyna niedawno pojął był w małżeństwo córkę dostojnika węgierskiego. Na te słowa obelżywe, odpowiedział on spokojnie: „Bóg będzie sędzią pomiędzy mną a tobą. Nim słowice zajdzie, ja śmiercią chwalebną polegnę, ty zaś uciekniesz haniebnie z pola”.

Tegoż samego dnia, 12 Sierpnia r. 1399, na parę godzin tylko przed wieczorem, Tatarzy przeprowadzili się przez rzekę i uderzyli na wojska polskie. Zrazu rycerstwo Witolda od-

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

niosło przewagę nad pogaństwem, lecz Tymur zaszedł od tyłu i zwycięstwo przechyliło się na stronę Tatarów. Tochtamysz pierwszy w trwogę uderzył i uciekać począł, dziki Tatarzyn zapomniał, że wojska chrześcijańskie popierając jego sprawę naraziły się na tę klęskę i począł w najlepsze łupić i porywać w jasyr sprzymierzeńców swoich Litwinów. Nastąpił popłoch straszliwy, Witold popadł w rozpacz, przemocą uprowadzono go z placu boju, ucieczką ratował się Świdrygiełło i wielu innych książąt i rycerzy. Ciągnęli i Spytka przyjaciele, lecz on chciał stwierdzić dnia tego, że się nie lęka niebezpieczeństwa ani śmierci na polu chwały, nie włożył na głowę upominku Edygi i rzucił się w wir boju. Niewiadomo, gdzie i jak zginął, długo w Polsce łudzą się nadzieją, że w jasyr wzięty, czekano jego powrotu, lecz nigdy wieść żadna nie doszła do kraju o bohaterskim Spytku z Melsztyna.

Prorocze słowa jego się spełniły, Szczukowski jeden z pierwszych uciekł z placu. Klęska była okropna, pierwszy to raz wojska chrześcijańskie takiej od Tatarów doznały porażki, samych książąt dnia tego poległo kilkudziesięciu, mnóstwo ludu dostało się do niewoli. Pogaństwo dwoma szlakami puściło się w pogoń za Litwą, Tymur dążył do Kijowa, Edyga z wyborem wojska zwrócił się na południe, zamierzał przepłynąć się przez Dniepr wygodnym brodem tawzańskim, niedaleko od ujścia rzeki. Wykonanie tego zamiaru byłoby jeszcze większe spowodowało nieszczęście na Polskę, hordy tatarskie rozlewając się po całym kraju, siałyby zapewne przez czas długi pożogę i spustoszenie, lecz przeszkodził temu przytomnością umysłu książę Witold. Wiedział on, że Tymur nie może tyle szkody wyrządzić, nie tamował mu więc drogi, ale zebrał resztki wojska, pośpieszył na wybrzeża Dniepru i stanął przy brodzie tawzańskim, a i król Jagiełło przysłał mu tam świeże posiłki na pomoc. Edyga zanadto był roztropny, aby się chciał narażać na niepewną walkę, zaniechał też przeprawy przez Dniepr i powiódł łupy swoje do Krymu. Tymur nie pokusił się o zdobycie Kijowa, ściągnął z niego tylko niewielki haracz, spustoszył Wołyn i za Edygą podążył. Tochtamysz podążył do swoich, chciał zgody, lecz odepchnięto go i zginął wśród zamieszek, a synowie jego schronili się w Moskwie, u księcia Wasila, później jednak odzyskali władzę w Kapczaku.

Edyga dożył sędziwego wieku, w niejednej jeszcze zwyciężkiej wyprawie przewodził, z ogromną potęgą wyruszył na zdobycie Moskwy, lecz musiał z niczym powracać, gdyż w Kapczaku tymczasem wszczęły się zamieszki, które zachwiały wpływ jego i zmusiły do przeniesienia się na wybrzeża morza Czarnego. Tam już do końca życia panował stary Edyga nad Tatarami czarnomorskimi, pokilkakrotnie napadał włości dawnego przeciwnika swego Witolda, a raz spustoszył strasznie Kijów, chociaż zamku zdobyć nie mógł. Uprzekrzyży mu się wreszcie ciągle wojny i grabieże, pod koniec życia chciał wypocząć, wyprawił tedy do Witolda poselstwo, ofiarował mu w darze trzy piękne wielbłądy, czerwonym sukniem pokryte i dwadzieścia siedm koni z takim listem: „Dożyliśmy obaj, kniaziu znamienity, wśród trudów i zapasów wojennych niedoleżnej starości. Godzi się resztę dni naszych spędzić w pokoju. Niech wsiąknie w ziemię ta krew, którąśmy w wojnach z sobą przeleli. Słowa złorzeczeń i nie nawieści, któreśmy przeciw sobie miotali, niech przebrzmia z wiatrem. Zawziętość gniewu naszego spłonie w ogniu. Woda zagasila płomień wojen naszych”. List ten zapisany jest w kronice Długosza. I odtąd aż do śmierci obu trwał pokój pomiędzy Witoldem i Edygą.

Edyga wielki a zębny wpływ wywarł na losy naszego kraju, on to bowiem, po usunięciu się z Kapczaku, stał się głównym założycielem potęgi tatarskiej w Krymie, tego gniazda rabusiów, którzy później przez czas tak długi ogniem i mieczem pustoszyli Polskę, złączwszy się ściśniętym przymierzem z Turkami.

Jan Lubicz.

Istotnie tak było, jak mówił ojciec. Wioślarze chwili się prawie, i zasypiali natychmiast ledwo padłszy na ziemię, a kawę pili ogromnie, chyba na zapas, może mają stosownie urządzone na nią żołądki, jak wielbłądy na wodę. Zaczynali nawet łowić ryby i piec je następnie. Pstrągi i łososie bardzo były smaczne, przyrządzone w ten pierwotny sposób przez ludzi, znających się na rzeczy, ale zbyt pośpiesznie rozpoczęta podróż opóźniała się teraz dziwnie przez te przerwy. A tymczasem i okolica zmieniać się także zaczynała i rzeka również. Rzeka zmalała niby, ale skały, drzewa z korzeniami powyrywane, i gwałtowne choć niewielkie spadki, czyniły ją coraz trudniejszą do przebycia, ścieśnione nurty, silniejszą i bardziej spienioną spadały falą. Wspaniałe lasy, brzozy, sosny, malały nagle, stawały się skurczone, pogarbione, a w oddaleniu z poza nich zaczynało rysować się na świetnym niebie coś dziwnego. Zrazu zdawało się, że to błyszczące oślepiającą jasnością chmurki, potem obłoki te złączyły się w niższej swej części w jedno fantastycznie poszarpane pasmo, a gdy słońce w cudownej swej wędrówce spojrzało nań w niepojęty sposób, pasmo to zabłysło milionami różnobarwnych iskrzących gwiazd, kwiatów, czy drogich kamieni...

Stanałem osłupiały i olśniony, i przyszedł mi na myśl bajeczny naszyjnik królowej wrótek, o której kiedyś baśni przy zimowym ogniu słuchałem. W ową chwilę nie płynęliśmy już, bo to stawało się niemożliwym nawet dla naszych łódek. Szliśmy wszyscy jeden za drugim, bo tak tylko można było przebyć skaliste urwiska, któremi prowadził nas przewodnik. On szedł pierwszy; ja za nim, ojciec za mną, jeden z wioślarzy za ojcem, przewodnik podawał czasem rękę mnie, a wioślarz ojcu. Inni po owych odpoczynkach pracowali znów teraz ciężko, bo wlokąc na podłużonych gałęziach nasze łódki, lub przepychając je i ciągnąc, po wodzie, po śniegu, stosownie do możliwości. W chwili gdy oślepiony blaskiem naszyjnika królowej wrótek stanąłem zdumiony, ojciec stanął także i zawołał:

— Hans-John! to są graniczne góry! gdzie my jesteśmy? pytam cię i pytam, czy prędko wydostaniemy się z tej nieznośnej Tornei, ty odpowiadasz ni to ni owo, a tu już górskie szczyty widzę, więc gdzie my jesteśmy?...

Ojciec przeciw swemu zwyczajowi mówił gniewnie... przewodnik poczuł to odrazu, zatrzymał się i patrząc na ojca z pod oka, a targając się za czarną, gęstą czuprynę, mówił zwolna:

— Gdzie jesteśmy?... albo ja wiem, kiedy to tam wszystko poprzetywano teraz, *Ibmel* *) wie jak, żaden stary porządny Sames takich dziwnych nazw nie zna; ja i po tamtej stronie tych gór, choć tamtejszy jestem, przecież też nie będę wiedział, gdzie będziemy... to się tam nazywa z urzędu teraz albo Tromso, albo Norlandya, albo Finmark, ale gdzie są tak nazwane miejsca, czy ja wiem? zkadze mam wiedzieć, jak się co nazywa z tej strony gór?... kiedy ja nie tutaj... Ja się zgodziłem przeprowadzić i przeprowadzę... ja wiem tylko, że jak przejdziemy te górki, to zaraz będą źródła i przytoki, a jak tam się dostaniemy, to już odrazu po Karasjoke i po Tanie staniemy w Wadsoe! Ale gdzie my jesteśmy? ja nie wiem, ja się nie ugodziłem wiedzieć, tylko przeprowadzić...

Ojciec patrzył surowo w oczy przewodnikowi, ale widziałem, że miał znowu ochotę rozśmiać się:

*) *Ibmel*, bóg nad bogami, Laponczyce, acz chrześcijanie, pamiętają jeszcze bóstwa swe pogańskie.

— A więc prowadź, kiedy umiesz tylko prowadzić, a nie wiesz którędy! — krzyknął, niby to z gniewem, ale przewodnik poznał się na tém oczywiście i z dobrą miną puścił się w dalszą drogę. Ja, nie rozumiałem nic z téj rozmowy, widziałem tylko jasno, że Hans-John udawał głupiego, i wymieniał nazwy prowincyj urzędowych Laponii norweskiej, utrzymując, że ich nie zna, a znając pewno jak swoje łódki i jak te przesmyki, któremi nas prowadził, unikając z niezmierném staraniem wszelkich miejscowości zamieszkałych. Coś w tém być musiało, i to coś niedobrego, jak zwykle w każdym skrywaniu. Podróż stawała się trudną nieznośnie; przy pierwszym spoczynku zapytałem ojca, co myślał o nieświadomości Hansa.

— Myślę — odrzekł — że to jest doskonały i troskliwy przewodnik, ale filut chytry i zręczny. Coś jest skrytego w jego postępowaniu niemylnie. Widzę teraz, że jakkolwiek oddalona jest jeszcze norweska granica, to przecież musieliśmy dawno minąć już, nie tylko Torneę, ale nawet i wpadającą do niej Muonią, może już kilku przytokami téj Muonii płynęliśmy dotąd, nie wiedząc o tém, aż dostaliśmy się na te górskie potoki, tak burzliwe a małe, że już łódki nawet takie jak nasze płynąć po nich nie zdołają. Nie mogłem dostać dobrej mapy tych okolic, a choć Stern-Biörn ją ma, przecież zapomniał niby dać mi ją w ostatniej chwili wyjazdu. Ale ja teraz podobno zaczynam rozumieć te manewra, bo już na razie zdawało mi się, że Hans-John nie chciał, abym mapę brał z sobą, bo mu szło o to, abym ja nie wiedział, którędy iść będziemy. Otóż albo bardzo się mylę, albo jesteśmy w téj chwili na rosyjskim gruncie, gdyż pamiętam, że wchodzi on w tych okolicach jakoś klinem w szwedzkie posiadłości, i w tém podobno jest cała tajemnica: przewodnik chce, abyśmy o tém nie wiedzieli, a to ze strachu przed odpowiedzialnością, bo od roku 1854 zakazano Lapończykom przekraczać granic trzech państw tu się jednoczących. Odpowiedzialność ta naprawdę nie istnieje, bo czy podobna upilnować ów lud koczowniczy i jednoplemienny, po obu stronach granicy mieszkający, zawsze jednak muszą się obawiać po trochu.

W taki to sposób ojciec tłómaczył mnie i sobie dziwaczne manewra przewodnika względem nas, i udawanie nieświadomości, ale nad odkryciem przyczyny ukrywania się i pośpiechu naszej podróży i strażowania na drzewie, na próżno łamał mi głowę obaj z ojcem. Tymczasem do gór, stanowiących granicę między Laponią szwedzką i norweską, daleka jeszcze była droga, chociaż widać było dokładnie śnieżne i ubrylantowane w słońcu ich szczyty. A droga ta byłaby niepodobną do przebycia, gdyby nie znał jęj przewodnik nasz tak doskonale, że umiał przejście znaleźć tam, gdzie go na pozór nie było. Wśród karlejącej za każdym krokiem roślinności, szerokie płaty śniegu w dolinach służyły za nakrycie bezdennej błotnistym przepaściom, a na górach śnieg zmienił kształty skał, tak, że stawiając nogę, nie można było zgadnąć, czy stawia się na skale lub na ruchomym śniegu.

Jeziora zdarzały się często w nizinach, a nasi wioślarze korzystali skwapliwie z każdej wody, aby spuścić na nią część na nasze i ulżyć pracy, istotnie ciężkiej, przeciągania ich wraz z pakunkami. Wtedy to zjawiała się nad owemi błotami okropna plaga tutejsza, komary, tnące do krwi, z bardzo bolesnymi następstwami. Te komary dokuczyły mi w Laponii bardziej niż wszystko reszta razem. Wiedziałem o nich

z opowiadań, a jednak nieznośne te owady napadły mię nieprzygotowanym i doprowadzały prawie do rozpacz. Ponieważ kłeska ta jest dobrze znana, przeto matka przygotowała nam broń przeciw niej, kawały grubego muslinu, duże a grube, które kładzie się na kapelusze, owijając niemi szczelnie całą głowę i szyję. Rękawiczki długie mają chronić ręce, ale dużo czasu minęło, zanim nauczyłem się z tém obchodzić, a tymczasem krwiożercze te obrzydliwe istoty tygrysię natury, umiały korzystać okrutnie z mego niedoświadczenia. Długo wstrzymywałem się od płaczu, i... uległem nareszcie... dopiero spojrzenie na ojca i ironiczna uwaga własna moja, co do pomocy, jaką on ma ze mnie, rozśmieszyły mię i sił dodały do obrony przeciw tym strasznym potworom.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

(Dla Dziurki).

Latam, brzęczę,
Niejednego zmęczone,
Powiedz mi, dziurko kochana,
Jak się zowie i z czego jestem znana?

Łamigłówka zgłoskowa (Żubr).

Wypisać 7 wyrazów następujących: 1. Wyspa na oceanie Atlantycznym. 2. Mąż biblijny. 3. Miejsce szczęśliwości. 4. Płyn życiodajny. 5. Pokarm koni. 6. Budynek, przeznaczony do przedstawień publicznych. 7. Przedmioty pożyteczne z żelaza. Początkowe i końcowe litery, z góry do dołu od czytane, utworzą imię i nazwisko poety polskiego z XVI wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Szarady:

Ro — le — ty.

Tajemniczej zgłoski:

Tę zgłoskę jest k, dodając ją otrzymujemy: Sekret — krok — Polka — matka — skok — kosa — burka — tłok — marka — kara lub arak — komar — maska — krowy — czaszka — krój — łkanie — krasa — pałka — krata — moka — klin — wykryć.

F. M. arka

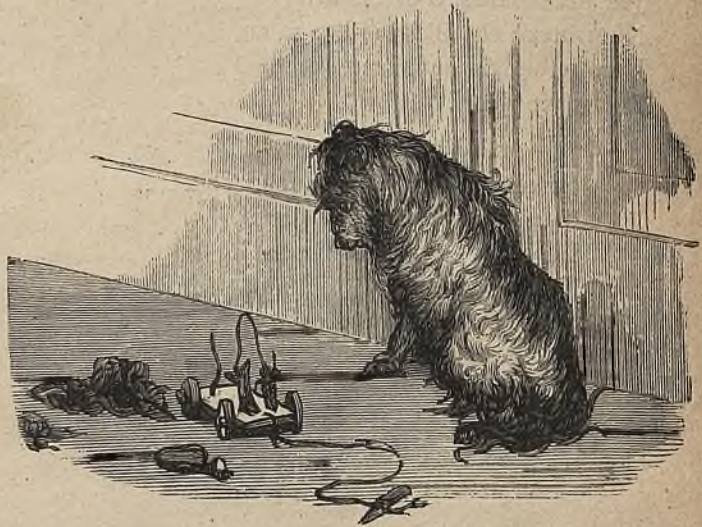
TRESĆ: Dziobak australski (drzew.) — Poranek letni, wierszyk p. Helenę Bojarską. — Pogadanka ogrodnicza p. Zofię Grabkowską. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a. (c. d.) — Skała w Bobolicach (z drzew.) — Kłeska nad Worskłą p. Jana Lubicza. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach polarnych (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Historia o grzecznym Władziu zazdrośnym Milusiu i wypchanym króliku (z drzew.) — Wstawaj wierszyk. — Pszczółka i Motylek. — Zegarek p. H. Bojarską. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana (c. d.) — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy. Przygody młodego chłopca w szkołach.

Historia o grzecznym Władziu, zazdrośnym Milusiu i wypchanym króliku.

(Dokończenie).

Mówią że odwaga wzrasta w miarę zwiększenia niebezpieczeństwa, tu wszakże działa się zupełnie przeciwnie. Miluś uczuł dopiero wtedy nieustraszone mężstwo w sercu, gdy doszedł do przekonania że niema się czego obawiać. Królik trzymany na sznurku o tyle tylko się do niego zbliżał, o ile sam tego zapragnął, inaczej stał w miejscu nieczuły na doznane poprzednio krzywdy.

Miluś zatem pomyślał, że nadeszła pora pozbycia się raz na zawsze nienawistnej istoty, która mu odbierała serce Władzia. Pobudzając się najpierw do zbrodniczego czynu zajadłem szczekaniem, puścił sznurek i rzucił się na królika. Teraz już obaj zapaśnicy zwarli się z sobą, to jest że Miluś pochwycił znów za kark nieprzyjaciela, podniósł go w górę i począł z tryumfem tą razą już nie wlec lecz obnosić go dokoła stołu. Gdy zapal jego



Wyrzuty sumienia.

I teraz Miluś nie wiedział równie jak pierwój, kogo zgładził, ale czuł, że pastwił się nad niewinną istotą, że walczył z bezbronnym nieprzyjacielem, żałował więc swego niecnego postępu.

A cóż dopiero gdy usłyszał głos Władzia wołający: Miluś, Miluś, gdzie się podziałeś?

W innym razie byłby wybiegł okazując w zwykły sposób radość swoją, obecnie zawstydzony skrył się pod łóżko.

Cóż powiemy więcej? Nic chyba, gdyż czytelnicy odgadną pewno sami uczucia Władzia na widok jaki mu się przedstawił! Niepotrzebował się namyślać aby wiedzieć kto był sprawcą zniszczenia królika.

Miluś zresztą całą swą postawą i obejściem, gdy go Jesionowska wyciągnęła z pod łóżka, stwierdził podejrzenia jakie zdawna obudzał zazdrośną swą niechęcią dla królika. Otrzymał też zwykłą karę zazdrośników; zamiast przywiązania którego pragnął, tylko niechęć do siebie obudził.

Władzio wybaczył wprawdzie mu później zniszczenie ulubionej zabawki, ale nie miał już dla niego tego serca co dawniej.

WSTAWAJ!

Wstawaj, śpieszko! Patrz, już słońce
Śle promienie swe gorące,
Ty, podnosisz się z łóżeczka,
Jeszcze senna coś troszeczką,
Odchylając małą dłonią
Zwoje, co łóżeczko chronią.

Czy ty wiesz, dziecino mała,
Żeś poranek już przespała,
Śliczny letni ten poranek,
Pełen woni i równianek,
Pełen światła i półcienia,
Pełen pieśni i marzenia,



Walka.

wojenny wzmógł się jeszcze po tej próbie, postanowił sięgnąć do głębi istoty królika. Wkrótce stało się zadość jego życzeniu. Szmaty białego futerka szarpane ostreimi zębami padały na wszystkie strony, a wreszcie ukazał się otwór ziejący trocinami. Rozszalały powodzeniem Miluś szarpał coraz lepiej, trociny sypały się już kłębammi, aż w końcu sypać się przestały, i z pięknego białego królika o rubinowych oczkach, pozostały tylko dwie łapki na drewnianej podstawie. Z iskrzącym wzrokiem i wywieszonym językiem oblepionym trocinami, Miluś siadł na przybrukanych szmatach białego futerka, spoczywając po wojennych trudach, siadł i patrzył na dzieło zniszczenia, którego dokonał. I cóż powiecie na to, że w chwili tej, miasto radości i upojenia tryumfu, poczuł w swym psim sercu coś nakształt wstydu i zgryzoty...

Uczucia podobne są zwykłym następstwem złego czynu.

I wietrzyków w wiejskiej ciszy,
Pełen życia, którym dyszy?

Ty najmiłszą dzienną porę,
Kiedy wstają ptaszki skore,
Już przespałaś, o dziecino!
Nie płacz! chwilki prędko miną,
I znów będzie drugi ranek,
Pełen woni i równianek.

Ale pośród snów spowicia,
Strzeż się przespać ranek życia!...
Ten najlepszy czas do pracy,
Lecz jak czynią leśni ptacy,
Ty, dziecino, chwałę Pana,
Śpiewaj od samego rana,
Potem bież do pracy żwawo,
Bo takie jest Boskie prawo.

M. Z.

PSZCZOŁKA I MOTYLEK.

— Ach ten próżniak, patrzeć na niego nie mogę — tak brzęczała pszczołka, przelatując obok ładnego motylka — cały dzień siedzi sobie na kwiatkach, lub buja w powietrzu dla zabawki, nic nie robi, nie pamięta, żeby sobie i dzieciom przygotować jakieś zapasy na zimę.

— Moja pszczołko — odpowiedział motylek łagodnie — dobrze to zapewne, że jesteś pracowita, ale nie bądź taka dumna i nie pogardzaj tak wszystkimi, co ciebie nie naśladowa. Poco ja mam zbierać zapasy, tu tyle kwiatczków na łące, że starczy dla mnie zawsze słodkiego soku. Zresztą tak mi jakoś słabo od wczoraj, od kiedy jajka złożyłem tam na listeczku, straciłem zupełnie apetyt.

— O, próżniak, próżniak, próżniak — zabrzęczała znów pszczołka i odleciała.

Na drugi dzień przelatywała znowu przez tę samą łączkę i obaczyła znajomego motylka, chciała więc zaraz zawołać, tak jak wczoraj: „próżniak, próżniak!” gdy spostrzegła, że motylek miał skrzydełka spuszczone, wietrzyk powiewał niemi na wszystkie strony, pszczołka przyfrunęła bliżej, spojrzała, biedny motyl już nie żył.

— Co za nieszczęście! — mówiła pszczołka, która, miała dobre serce — żałuję teraz, że wczoraj do niego tak ostro przemawiała. On był chory, osłabiony, a ja go do pracy napędzałam! Ale cóż teraz z temi biednymi sierotami się stanie? Mówił wczoraj ten motylek, że jajka złożył na listeczku.

— Bądź ty spokojna o te dzieci — odezwała się liszka, pełzająca tuż obok na krzaczku kapusty — ja także jestem dzieckiem motylków, rodziców swoich nie pamiętam wcale, bo pomarli, nim ja z jajka się wyklułam. Kochana mateczka wiedziała jednak zapewne, że te listeczki kapuściane będą mi smakowały, bo złożyła jajka na tym krzaku. Bardzo mi tu dobrze, nie zgine z pewnością z głodu, a kiedyś przemienię się w skrzydlatego motylka i będę sobie fruwać i sok z kwiateczków spijać. Ach, żebyż to prędzej, bo mi już dokuczyło tak pełzać. Musiał

i tamten motylek obmyśleć dobre siedlisko dla swoich dzieci.

— Zkąd on mógł wiedzieć, co im będzie smakowało, skoro sam tylko sok z kwiatów wypijał? — rzekła pszczołka — chyba, że już Opatrzność nad tem czuwała. Widzę jednak z tego wszystkiego, że ja miała trochę słuszności; ten motylek był próżniak, wyszukał dla dzieci gotowe pożywienie, a sam nic nie robił, fruwał sobie tylko, bawił się, co tu wiele mówić, próżnował. Opatrzność jest miłosierna, lecz także i sprawiedliwa, motylek zrobił już na świecie wszystko, co do niego należało, więc nie umiał i dlatego to pewnie musiał biedaczek umierać. O tak, tak, kto nie jest użyteczny, ten nie wart żyć, szkoda dla niego było nawet i tej odrobiny soku z kwiatów.

ZEGAREK.

ZDARZENIE PRAWDZIWE.

Anielcia dostała od babci ładny złoty zegarek, musiała być grzeczną dziewczynką, kiedy zasłużyła na tak kosztowny podarunek; ale że dopiero skończyła dziesięć lat przeto mama nie dała jej go jeszcze nosić, mówiąc, że mogłaby zepsuć, nie umiając się obchodzić, jak należy z zegarkiem. Anielcia usłuchała rady mamy i zegarek schowany został do komody. Starsza siostra Anielci, Zosia nieraz prosiła Mamę, aby jej go nosić pozwoliła, dopóki Anielcia nie będzie starsza, ale mama nie chciała na to zezwolić, mówiąc, że to nie ładnie stroić się w nie swoje rzeczy. Zdarzyło się raz, że mama wyjechała na kilka dni, pozostawiając dzieci pod opieką stariej i wietnej służącej, klucze zaś od wszystkiego oddając Zosi, która niezmiernie się cieszyła, że może gospodarować wszędzie, otwierać wszystko i oglądać; chciała też zrobić mamie niespodziankę i ładnie poukładać wszystkie rzeczy w komodzie i w szafach, Układając w komodzie zobaczyła zegarek, popatrzyła nań, westchnęła i pomyślała sobie:

— Żeby tak teraz miała pójść gdzieś w odwiedzin, to zaraz ubrałabym się w ten zegarek, ale cóż? bez mamy nigdzie nie bywamy, szkoda! Ale prawda, mogę go wziąć jutro na pensję, Anielcia i tak nie zobaczy, bo schowam pod fartuszek — pomyślała znów po chwili, układając resztę rzeczy w szufladzie. — Jaki przyjemnie wiedzieć która godzina, o! muszę zrobić sobie tę przyjemność choć raz — myślała jeszcze, kładąc się spać, zegarkowi nic się nie stanie, nakręcę go na jeden dzień, a potem znów schowam do szuflady.

Na drugi dzień rano dziewczynki zaczęły się wybierać na pensję. Zosia pod jakimś pozorem poszła do pokoju mamy, wyjęła zegarek, nakręciła, naregulowała i położyła na komodzie, z ostrożnością włożenia go dopiero przy wyjściu, nie uważała jednak, że sznureczek, na którym wisiał zegarek, zsunął się i zwiesił ku ziemi. Podano śniadanie, a że było jeszcze dość wczesne, więc te dziewczynki nie śpieszyły się z jedzeniem, ale gawędziły sobie to o tém, to o owém; pierwsza podniosła się Zosia i zaraz pobiegła do pokoju mamy; jakież było jednak zdumienie jej i przerażenie, gdy spostrzegła, że niema

zegarka w miejscu, w którym go zostawiła. W pierwszej chwili o mało nie krzyknęła, lecz zaraz opamiętała się i postanowiła raz jeszcze przeszukać wszędzie; wszak złodziej nie mógłby się zakraść w biały dzień i to do środkowego pokoju; z pokoju mamy wychodziły drzwi do salonu, a z tamtąd do przedpokoju.

— Ha! zobaczę, czy czasem drzwi nie otwarte — pomyślała zrozpaczona dziewczynka i pobiegła do sali; tam doleciał jęj szmer jakiś, wychodzący z pod kanapy; z początku przełękała się bardzo i już chciała uciekać, ale rozpacz dodała jęj odwagi i... zajrzała. Jakiż widok przedstawił się jęj oczom! — oto jęj ulubiony piesek Filuś, wielki figlarz i psotnik, trzymał w zębach oderwaną kopertę od zegarka, o parę kroków dalej, leżało potłuczone szkiełko, a obok niego szczątki zegarka! Pies psotnik, widząc zwieszony sznureczek, zaczął się nim bawić, tym sposobem ściągnął zegarek, który spadając otworzył się, co najwięcej przyczyniło się do zniszczenia. Biedna Zosia pozbierała wszystko z ziemi, schowała szczątki do komody i z wielkim bólem głowy poszła na pensyą. Wszyscy spostrzegli w niej jakąś zmianę, wszyscy dopytywali się, co jęj jest, dziewczynka milczała uparcie, dopiero gdy mama wróciła, sama wszystko opowiedziała, prosząc ze skruczą o przebaczenie. Mama nie gniewała się, ale powiedziała, że na wieczorku dziecinnym, jaki ma się odbyć za parę tygodni, będzie tylko Anielcia, gdyż pieniądze, przeznaczone na sukienkę dla Zosi, użyte będą na naprawę zegarka. Podobno jednak dobra Anielcia prosiła mamy, aby i ona mogła nie pójść na ten wieczorek, bo smutnoby jęj tam było bez Zosi.

Helena Bojarska.

NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

Niektóre liszki znacznie większe, takie, co już kilka razy tę skórę zmieniły, zabawnie bardzo wyglądały. Uczepione do gałązek, wysnuwały z pyszczka długie, cieniućkie niteczki; inne wreszcie już się całe temi niteczkami oprzędły i spały sobie w tej kryjówce. Oprzędy te wyglądały jak małe, podłużne jajka, a były to w rzeczy samej kłębuszki jedwabiu. Wrzucano je do wody gorącej i zwijano piękny jedwab, wyrabiano z niego potem te wszystkie ozdobne tkaniny, których pełno było wszędzie w rezydencji Pióropuszką. W osobnym, niedużym pokoju, latała znów gromadka niepozornych, białawych motyli. Abrakadabrus nie pytał się, co tam te motyle znaczyły, bo on doskonale wiedział, że to naumyślnie postawiono trochę oprzędów niewiniętych, żeby się z nich te motylki wydobyły. Jedwab już wprawdzie był na nic, bo motyl, wylatując z oprzędu, porwał go w kawałki, ale za to owe motyle składały mnóstwo drobnućkich jajeczek, a z tych nowe liszki wychodziły.

— Tak, tak — mówił Abrakadabrus — ten piękny jedwab należy niezawodnie do królestwa zwierząt, a je-

dnakże te pocziwe liszki nie potrafiłyby go wysnuć, gdyby nie miały obfitości liści morwowych. Moznaby naprawdę powiedzieć, że jedwab robi się z morwowych liści i gdybym był na miejscu królewicza Zielonki...

Umilkł mistrz, uśmiechając się nieznacznie, a Pióropuszek udał, że nie słyszy. Na poufną rozmowie i oglądaniu tych wszystkich ciekawych rzeczy przeszedł dzień cały, wieczorem zajaśniała przepyszna iluminacja. Wszędzie płonęły olbrzymie świece woskowe i stearynowe, lub lampy zrobione z dużych konch, tłuszczem wypełnione. Napatrzwszy się już do woli wszystkiemu, Abrakadabrus odszedł do swojej sypialni i doskonale się wyspał na miękkim i wygodnym materacu i puchowych poduszkach, jedwabiem pokrytych.

Nazajutrz, ledwo dzień zaświtał, zwyczajem swoim wymknął się pokryjomu z pałacu, lecz nim wsiadł na swego muła, wyjął z kieszeni kawałek pergaminu i nakreślił na nim ołówkiem karminowym te słowa:

„Miłościwy królewiczu! Muszę śpieszyć z powrotem na dwór króla Dobromira, pragnąłbym jednak koniecznie powiedzieć ci parę słów w sprawie niezmiernie ważnej, tyżając się królowny Perełki. Racz więc dziś po południu przybyć do portu, gdzie oczekiwać będę na ciebie, nim wsiądę na statek”.

„najniższy sługa Abrakadabrus”.

Wyjeżdżając już z bramy pałacowej, mistrz przebudził rozespanego pazia i polecił mu, aby tę karteczkę oddał do rąk królewicza Pióropuszką. Przejeżdżając niedaleko rezydencji Zielonki, Abrakadabrus zatrzymał jakiegoś przechodnia i wręczył mu podobną kartkę pergaminową, na której wypisał słowo w słowo toż samo, z tą różnicą, że wspomniał o ważnej sprawie tyżając się królowny Jagódki. Kazał tę kartkę wręczyć jaknajśpieszniej królewiczowi Zielonce. Nakoniec mijając rezydencją Kryształką, przesłał i jemu trzecią kartkę z tą samą prośbą, lecz jego wzywał w sprawie, tyżając się królowny Iskierki. Potem już spokojnie pojechał dalej truchcikiem i wkrótce stanął w porcie. Posiliwszy się trochę w gospodzie, zostawił tam swego muła i poszedł zamówić sobie miejsce na statku, który miał odpłynąć przed wieczorem. Załatwiwszy się z tém, mistrz zaczął się przechadzać po wybrzeżu, pogwizdując sobie z zadowoleniem.

Już też było i po południu, mistrz pilnie nasłuchiwał i wnet ozwały się donośne dźwięki trąb metalowych, Abrakadabrus zatarł ręce, uśmiechnął się, a po chwili ukazał się królewicz Kryształek ze swoim orszakiem. Jechał on na pięknym welocypedzie, z samej stali zrobionym, przed nim na takichże samych welocypedach jechali trębacz a za nim dworzanie.

— Kochany mistrzu — zawołał królewicz — jakże się cieszę, że się jeszcze z tobą obaczyć mogę. Cóż to za sprawa? mów, proszę!

Nim jednak Abrakadabrus, powitawszy królewicza głębokim ukłonem, przemówić zdążył, dały się słyszeć z daleka piskliwe tony fletów i wkrótce zbliżył się orszak królewicza Zielonki. Siedział on wygodnie w lektyce drewnianej, którą niosło kilku silnych ludzi, dwór cały postępował za nim pieszo. Pióropuszek nieraz stroił

z brata złośliwe żarty i mówił, że powinienby, i on sam, i dworzanie jego, jeździć na koniach drewnianych.

(d. n.)

Łamigłówka głoskowa (Psotnica).

a c d e
i j k l
n p r s
y y z z

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 31-go.

Szarady:

War — sza — wa.

Skrzynka do listów.

Rusalkę z wielką przyjemnością zaliczamy do grona korespondentek i prosimy, aby w następnym liściku nie pisała: Szanowny redaktorze, tylko: Kochana Pani, jak piszą wszyscy korespondenci. Łamigłówki Rusalka trafnie odgadła i rozwiązania bardzo starannie napisała. Radzibyśmy się dowiedzieć, jakie jest prawdziwe imię tej Rusalki i ile ma lat?

Jaskółkę z nad Wieprza pochwalić tylko możemy, że naukę kładzie na pierwszym miejscu i dopiero w czasie wakacji znalazła czas na napisanie liściku. Co do Jastrzębiat, bardzo być może, iż zaszła pomyłka, dziś już tego sprawdzić nie potrafimy, ale w naszej redakcji wszelkiego rodzaju ptaszyny mile są witane, nie wyłączając Jaskółeczek, zwłaszcza takich, co datek dla ubogich dzieci przynoszą w dziobku.

Gołębia (zapewne także z nad Wieprza?) prosimy bardzo, aby jak najczęściej pukał do naszej redakcji; pocziwy to Gołąbek, co pamięta o ubogiej dziatwie, serdecznie mu w imieniu obdarowanych dziękujemy.

Wiewióreczkę z nad Kamionki (bo mamy inną stałą korespondentkę Wiewióreczkę) prosimy, aby dotrzymała obietnicy i koniecznie należała do pierwszego konkursu, który niezadługo będzie ogłoszony w dodatku dla młodszych czytelników. Łamigłówkę zamieścimy, ale troszkę później.

Lilijkę z nad Horynki i Rybkę z Horynia mielibyśmy wielką ochotę uściśkać za to, że umieją być wdzięczne Bogu, który je tytułami obdarzył i starają się odplacić to uboższym dzieciom, pozbawionym tego szczęścia.

Cyganeczka z nad Horynia musi być zadowolniona z przedłużenia terminu nadsyłania robótek na konkursu i zapewne nie omieszką z tego skorzystać. W każdym razie i spóźniona przesyłka nie pójdzie na marne, lecz dostanie się zawsze ubogim dzieciom.

Siekierka wcale się z datkiem swoim nie opóźniła, i darmo to sobie wyrzuca; wszakże tłumaczyliśmy wszystkim kochanym korespondentom, że dzieci dwa razy w ciągu lata są na wieś wysyłane.

Gałązka litewska będzie miała wkrótce w dodatku książkowym powiastkę dla dorastających panienek, i szanowna autorka „Prawdziwego Bogactwa” przyrzeka coś jeszcze napisać dla naszych czytelników.

Topolka z nad Wisły utrzymuje, że nie chciano jej w redakcji naszej zaliczyć do grona korespondentek. Ależ to być nie może, chyba liścik Topolki rąk naszych nie doszedł, bo jeszcze się to nie zdarzyło, abyśmy komukolwiek odmawiać mieli tego, co jest dla nas także największą przyjemnością. Grono korespondentów wzrasta z dniem każdym i bardzo się tym cieszymy, a nie odstręczamy nikogo.

Malinkę także witamy serdecznie i prosimy, aby pisywała jak najczęściej, bo takie staranno i porządne liściki zawsze z przyjemnością odczytujemy.

Gołąb' z nad Warty zapytuje o swoją łamigłówkę. Nie zagnęła, tylko dla braku miejsca dotąd nie mogła być drukowana, ale ukaże się niezadługo.

Stokrotkę z nad Granicy prosimy, aby przejrzała spis nadesłanych na kolonie letnie ofiar, a jeżeli dar jej doszedł, to tam z pewnością jest zapisany. Rozwiązanie trafne.

Jaguarowi z nad Wisły dziękujemy za wiadomość, że powieść „Złote Pachole” mu się podoba. Autorką jej jest p. Michalina Zielińska, stała współpracowniczka naszego pisma. Zadanie konkursowe podamy niezadługo i przez całą jesień i zimę bez przerwy zamieszczać je będziemy. W czasie wakacji układający i ogadujący musieli troszkę wypocząć.

Kasi Z. w Mińsku Nie możemy gniewać się na koteczkę, że i ona w naszych „Wieczorach” smakuje; nie umiejąc czytać, musiała je pogryźć. Nr. ten odesłano powtórnie, ale... nie dla kotki, niech sobie te przysmaki wyperswaduje.

„Kochana Ukrainko na Mazowszu! Bardzo mi się podobał twój pseudonym, chciałabym koniecznie zapoznać się z tobą chociaż listownie, twoja Rusalka” (Ukrainka jest panią dorosłą, o czym donosiliśmy już kilka razy. przyp. red.).

„Kochana Niezapominajko! Twój pseudonym jest bardzo ładny, więc chciałabym się listownie z tobą zapoznać. Ja nazywam się Jadwinia, mam lat 9, mieszkam w Warszawie, mam siostrę i brata starszych odemnie, twoja Malinka.”

Wiochnie z nad Wisły, Czarnuszcze z nad Ochni, Halince B. w Holakach i siostrzyckom Jaskółkom przesyła pozdrowienie Jaskółka z nad Warty.

„Kochana Sosno nadwiślańska! Chciałabym bardzo cię poznać, bo masz taki sam pseudonym jak ja. Mam lat 14, nazywam się Marynia, mam trzy siostry i trzech braci. Donieś mi o sobie; czy lubisz Wieczory, bo ja z przyjemnością je czytuję. Przyjm serdeczne uściśnienie od życzliwej Sosenki z Dąbrowy.”

„Kochana Stokrotko z Zofiówki! Jesteś moją imienniczką z pseudonymu, więc nie powinno cię to dziwić, że poproszę, abyś mi napisała, ile masz lat i jak się nazywasz. Moje imię jest Olesia, mam lat 12, przyjm uściśnienie od twojej Stokrotki z nad Granicy.”

„Kochana Kalinko! Bardzo mi się podobało twoje wypracowanie na ostatnie zadanie konkursowe. Ja nazywam się Ewelina, mam lat 11 mieszkam na wsi. Mam 3 siostry i 2 braci o wiele starszych odemnie. Odpisz mi, kochana Kalinko, posyłam ci Szaradę, Twoja Pokrzywa.”

„Kochana Poziomko leśna z nad Teterowa! Chciałabym bardzo cię poznać, ponieważ obie mieszkamy na wybrzeżach tej samej rzeki. Donieś mi, proszę ciebie, czy mieszkasz, tak jak ja, w Żytomierzu, ile masz lat, jak ci na imię, czy masz rodzeństwo? Twoja Skalka z nad Teterowa.”

P. K. Gordziałkowskiemu w Drukku. Według przekazów na prenumeratę i na kolonie letnie powinno być przysłane rs. 5 kop. 18. Przysłano zaś tylko rs. 4 kop. 14 odłączony wiew z tego na prenumeratę rs. 3 kop. 75 pozostaje na kolonie letnie kop. 39.

Numer 15-ty.

PRZEGŁĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA:

Zdrowie nauczycieli, przez Stanisława Berżańskiego. — Kartki z geografii fizycznej, Wacława Nałkowskiego. — Brak dozoru nad czytaniem dzieci, przez H. — Jak zająć dzieci podczas wakacji, przez P. Sosnowskiego. — Korespondencja, z Krakowa. — Krytyka i biblijografia: Adam Bełcikowski, Ze studiów nad literaturą polską (dokończenie), ocenił D-r Mikołaj Bobowski. — Rozmaitości.